

\*\*\*

„Wschód» jest książką o podróżach pod historyczno-cywilizacyjny prąd. Jak zawsze u Stasiuka, ale ta jest bardziej prywatna. Próbuje jakoś uzgodnić swoje wybory życiowo-pisarskie z historią i losem swojej rodziny, a ostatecznie z kondycją człowieka, która najsilniej objawia mu się tam, na Wschodzie, w kolejnych kręgach wschodniego odalenia, od Podlasia aż po Chiny – pisze Ryszard Koziołek w „Tygodniku Powszechnym”, numer 40/2014.

Być może wszystkie podróże, cała ta jego niepokromiona ruchliwość ma odpowiedzieć, dlaczego w drugiej połowie lat 80., kiedy wszyscy chcą na Zachód, on przybywa do Wołowca. I trwa w tym jednokierunkowym ruchu z chłopskim uporem, tępą na pozór irracjonalnością żuka-gnojaka toczącego kulkę gnoju po najtrudniejszym terenie, głową w dół.

Nigdy mi tej ludowej mentalności nie potrafiła przekonywać objaśnić polska chłopska literatura, od Orzeszkowej po Myśliwskiego i Pilota. Stasiuk nie próbuje, on to studiuje w sobie, te resztki atawistycznych zachowań, które każą mu wracać w to samo miejsce, jak losoś, który może płodzić tylko w bystrych górskich wodach, dokąd odbywa samobójcze wędrówki.

Ruch na wschód, do Rosji, Mongolii czy Chin, jest szansą na materialny ekwiwalent własnej i polskiej przeszłości, ponieważ podążanie w tym kierunku okazuje się ruchem w czasie. Czas zostaje odzyskany dzięki przestrzeni, która tam, na wschodzie, przez swój ogrom, surowość, cywilizacyjną nieogarnialność przechowała dawne formy życia, porzucone przez rodziców narratorki, wywiezionych »z chamskiej wsi do pańskiego miasta«.

Stasiuk tropi tu starszą siłę, która obnaża nomadyczność każdej formacji historycznej, plemienność najbardziej zaawansowanych cywilizacji. Przesiedleńcy zajmujący ziemię Lemków »byli nowa rodzina. Plemieniem na kolektywistycznej wyspie. Byli wcieleniem komunizmu, ba. rei samym komunizmem«.

Okrutna nagłość wypędzeń i przesiedleń nie daje się oswoić. »Ludzie wciąż chodzą pracować na dworskie, choć władza ludowa podarowała im te jałowe splachetki na własność w czterdziestym piątym czy szóstym«. Czujne ucho pisarza przechwytuje je dowody nieciągłości i niewspółbieżności życia plebejskiego z przemianami polityczno-cywilizacyjnymi. Zmienia się system polityczny, ale język pozostaje, stygmat pańszczyzny nie zarasta szybko skórą socjalistycznej równości. (...)

Cała ta książka to jedno wielkie, nieoprawne politycznie bluźnierstwo. Ruscą się lepsi od Niemców, Wschód od Zachodu, a w komunie narrator był szczęśliwy. Jest jak wierzące, dzikie dziecko, któremu każą się wyrzec dzieciństwa, bo nazwano je »komuną«. A jednak akceptujemy te bluźnierstwa, a nawet jest w nich coś wyzywającego: »Im jestem starszy, tym mniej żałuję, że żyłem w tamtych czasach. Szczерze mówiąc, w ogóle nie żałuję«.

Jego pogodzenie udziela się i mnie. Zdaje mi się, że rozumiem jego egzystencjalny komunizm, tę uświadomioną konieczność życia we wspólnocie losu, na który skazała nas historia. Ale moc tej ostatniej słabnie, kiedy opowieść umieszcza historię w gigantycznych przestrzeniach Azji, gdzie system

nieruchomieje, zdarzenia tracą sens i żadna ludzka materia nie jest w stanie długo opierać się naturze. To tylko sztuczka literatury, która życia nie zwróci ani losu nie odwróci, ale pozwala pomyśleć o Chinach spokojniej, bez lęku lub wzgardy, mając w oczach obraz defekującego melancholijnie Chińczyka dworcu w Datong».

\*\*\*

„Gdy zagrał kucharza, który w »Ojcu Mateusza« po pijanemu potrafił kogoś i uciekł z miejsca zdarzenia, w domu rozegrał się mały dramat. Mała córka kuzynki nie mogła zrozumieć, dlaczego tak źle postąpił? Jak mógł? Michałowi Mikołajczakowi, który wcielił się w tę postać, wytłumaczyć się z poczynań swojego ekranowego bohatera wcale nie było łatwo – pisze Ewa Drzazga w „Tygodniku 7 dni”, dodatku do „Dziennika Łódzkiego”, numer 39/2014.

Ale, jak mówi, takie już są уроki aktorstwa. I ze spokojem przyjmuje sugestie od widzów, którzy na ulicy przestrzegają go, że »ta blondynka to lepiej nie, ona cię oszuka i wykorzysta, zobaczysz...«. – W sumie to i tak lepiej niż mają koledy, którzy grają serialowych lekarzy. Ich na ulicy widzowie proszą o diagnozę – śmieje się Michał Mikołajczak, który wychował się w Zelowie, a pierwsze szlify aktorskie zdobywał kilkanaście lat temu na scenie domu kultury w rodzinnym mieście.

Aktorstwo nie było celem, o którym marzyli by od zawsze.

– Tak naprawdę to był przypadek, koleżanka starała się o miejsce w łódzkiej filmówce, a ja pojechałem z nią na egzaminy, sam wtedy składałem papiery na jakiś kierunek związany z ekonomią – opowiada 28-latek pochodzący z Zelowa.

W efekcie kilka miesięcy później rozpoczął studia na wydziale aktorskim w Łodzi. Ale z łódzką uczelnią rozstał się dość szybko, by naukę zacząć w Akademii Teatralnej w Warszawie».

\*\*\*

„Zwycięstwo grającego Zbigniewa Religę Tomasz Kota polega na tym, że zbudował barwną, fascynującą, pełną siły i słabości wielowymiarową postać, a nie herosa. Nie miał prostego zadania, bo Religa był skomplikowaną, skłóconą wewnątrznie osobowością. Ryzykował życie swoich pacjentów. Był apodyktyczny, zdeterminowany, żądny sławy. Decyzja wyjazdu ze stolicy do małej śląskiej kliniki oznaczała degradację, brak szans awansu, a on chciał gonić Zachód. Musiał walczyć z wiatrakami: brakiem sprzętu, esbekami, zaściankową mentalnością Polaków, oporem przełożonych, głęboko zakorzenioną wiarą, że serce jest miejscem duszy, a nie mięśniami czy pompą. Wszystkich traktował równo. Naiwnych, bogobojnych katolików tak samo jak partyjny beton. Jedni i drudzy uważali transplantację za gwałt na etyce, za świętokradztwo – tak jak w niektórych środowiskach dziś traktuje się in vitro – piszą Aneta Kyzioł i Janusz Wróblewski w „Polityce”, numer 40/2014.

Z jednej strony był to nieludzko ambitny, przedsiębiorczy, absolutnie przekonany o swojej racji pracoholik, nie liczący się z żadnymi ograni-

zeniami. Porzucający żonę i dom dla kariery. Z drugiej – społecznik, altruista, głęboko przeżywający porażki nadwrażliwiec, skryty za maską bezczelnego self-made mana i ateisty. Odreagowujący kryzysy alkoholem. Kot tę ambiwalencję oddał perfekcyjnie. Przygarbiony, z nieodłącznym papierosem i zmęczeniem na twarzy, nie powtarza mechanicznie wyuczonych gestów, niczego nie imituje, tylko buduje portret w najlepszym hollywoodzkim stylu. Lekko, dowcipnie, z niespotykaną w polskim kinie brawurą. Religa w jego interpretacji to – jak sam mówi – »John Wayne polskiej kardiologii«.

Przygotowując się do zagrania człowieka wyprzedzającego swoje czasy o dekady, Kot miesiącami studiował zdjęcia, oglądał filmy dokumentalne, rozmawiał z żoną Religi Anną, spotykał się z jego synem Grzegorzem, też kardiochirurgiem. – *Na kilku przypadkowo zrobionych fotografiach zobaczyłem innego Religę. Staralem się dokleić do tych zdjęć. Odtworzyć ten sam wyraz twarzy i zastanowić: co się mogło zmienić, jaki to rodzaj emocji dwie sekundy dalej i dwie sekundy wcześniej* – zwierza się Kot. Popęłniał przy tym masę błędów, próbując dosłownie wejść w jego skórę. – *Generalnie jestem aktorem ruchowym. Biorąc pod uwagę mój wzrost, nie bałem się fizyczności, tylko przerysowania, żeby nie wyszła parodia, zwłaszcza z tym przygarbieniem Religi. Dużą pomoc otrzymał od reżysera, który namówił go, by zachował tylko dwa, trzy proste gesty. Resztę miał dać od siebie.*

W scenach szpitalnych aktor wypada rewelacyjnie. Mimo że w filmie jest sporo akcentów komediowych, w trakcie wykonywania operacji przeszczepów serca czuje się olbrzymie napięcie. To efekt żmudnego przygotowania w klinice kardiologicznej w Aninie. Nauczycielką aktora była instrumentariuszka, która asystowała Relidze w latach 80. Pod jej czujnym okiem na zwiniętym fartuchu ćwiczył przyszywanie starych zastawek i opanowywał czynności, których dziś już się nie wykonuje, jak szorowanie rąk po operacji szczotkami, bo wtedy nie było odpowiednio silnych preparatów dezynfekujących. Sporo też mu dały spotkania ze starymi znajomymi profesora. Jeden zwrócił mu uwagę, że praworęczni kardiochirurdzy mają lewe ramię niżej. To skutek wielogodzinnego stania w charakterystycznej pozie nad stołem operacyjnym, co też Kot idealnie podchwycił.

Są również większe zaskoczenia. W jednej ze scen Religa zwalnia swojego zastępcę, ponieważ zezwolił pacjentowi zadzwonić z pokoju, w którym odpoczywa profesor. Niepewny swego losu chory żegna się z bliskimi, Religa to słyszy. Poszło o emocje. Lekarz nie powinien wchodzić w bliskie relacje z pacjentami. Zławsza kardiochirurg. Współczucie, zastanawianie się nad skutkami nieudanego zabiegu to niepotrzebny, dodatkowy stres, równia pochyła do załamania. Kot genialnie te napięcia rozgrywa. Zamienia się w surowego, bezlitosnego szefa, by chwilę potem jednym westchnieniem, że jednak przywraca lekarza do pracy, znów zyskać sympatię widza.

– *Tomek przyjął zachodni model przygotowania do roli: bardzo staranny, wymagający czasu* – opowiada Tomasz Karolak, kolega Kota z planów filmowych i seriali, w tych ostatnich od pięciu lat Kot już nie gra”. (...)

**Gazeta Kulturalna** Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: [andrzejdebkowski@wp.pl](mailto:andrzejdebkowski@wp.pl) [www.gazetakulturalna.zelow.pl](http://www.gazetakulturalna.zelow.pl)

Redaktor prowadzący – **Andrzej Dębowski**.

**Współpraca:** Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

**Współpraca techniczna:** Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Baborzyn 13, tel. (043) 677-41-56.